

Kilka uwag na temat starego i nowego paradygmatu relacji człowieka z prawem

1. Wprowadzenie

Współcześnie zazwyczaj traktuje się zachodzące między prawem a ludźmi związki jako coś oczywistego, gdyż w dość rozpowszechnionym rozumieniu to pierwsze traktowane jest jako juredykcyjna normatywność, która jest tworzona przez ludzkość przede wszystkim na jej własne potrzeby. Nie jest to wszakże bezalternatywny model, albowiem nie obowiązuje on od zawsze, z czego wynika, że kiedyś było inaczej i być może w nieodgadnionej dla nas przyszłości również nie będzie tak, jak dzisiaj.

Wynika to z tego, że genetycznie prawo i rodzaj ludzki są niezależnymi od siebie fenomenami, mogącymi wchodzić w koincydencje lub niekoniecznie. Wszak według tradycyjnych przekonań nomokracja przyjmuje pierwotnie postać *Ius Divinum*, co oznacza, że ma boskie pochodzenie i istniała, zanim mężczyźni i kobiety zaludnili Ziemię. Jeśli dowiadujemy się z Biblii, że „na początku było Słowo”, to możemy z tego wyciągnąć wniosek, że deklaruje się w ten sposób prastary charakter Prawa, gdyż użyte przez św. Jana określenie *Λογος* niejednokrotnie bywa rozumiane, począwszy co najmniej od Heraklita z Efezu, jako Najwyższa Zasada czy też Nadrzędne Prawo Świata, obowiązujące od prawieków niezależnie od ludzkich ambicji i zamiarów, nie mających żadnego wpływu na Juredykcyjność Najwyższego Rzędu, zadowalającą się w zupełności boskimi parantelami.

Według radykalnie nomokratycznego ujęcia nawet one są niepotrzebne, bowiem zgodnie z tym sposobem myślenia Prawo Naturalne powstało samo z siebie, czy też w takim lub innym kształcie jest odwieczne i karmi się swoją doskonałością, najbardziej widoczną na tle nieożywionej Przyrody, nie przeszkadzającej swojej aktywnością realizacji Naturalnoprawnego Paradygmatu, narażonego na pewne naruszenia wskutek nieprzemyślanych poczynań błędzającej ludzkości, z upodobaniem przekształcającej środowisko naturalne wskutek pogoni za dobrobytem, będącym wszak wyobrażeniem jak najbardziej sprzecznym z Odwiecznym Porządkiem, nie dopuszczającym przesadnego Szczęścia w żadnym wymiarze. Wynika z tego, że, zgodnie z regułą Globalnego Homeostatu, nie jest możliwe zasadnicze naruszenie Niezmiennych Zasad Kosmosu, które prędzej czy później dadzą o sobie znać, przypominając o swojej władzy, doskonale

obojętnej względem ogłaszanych przez antropiczne podmioty podniosłych w ich mniemaniu deklaracji, odmieniających Wolność w najróżniejszych jej hipostazach, co nie wywiera jednak wpływu na postać Wszechświata, niewzruszenie bytującego według boskich lub samoistnych prawideł i domniemana anihilacja ziemian w jakiejś mniej lub bardziej efektownej Apokalipsie nie spowoduje żadnych zmian w ogólnym stanie Kosmosu.

2. Utracony świat magicznej i religijnej odmiany normatywności

Gdy zastąpimy metafizyczne ujęcie narracją, próbującą oddać stan świadomości zorganizowanych grup społecznych na rozmaitych stadiach jej rozwoju, to niechybnie dojdziemy do wniosku, że nie musi ona być współkształtowana przez przekonanie o niezbędności prawa dla kolektywnego bytowania, choć równocześnie twierdzi się, że żadna społeczność nie może się bez niego obejść. Argumentem na rzecz słuszności tego ostatecznego przekonania jest konstatacja konieczności istnienia jakichś zazwyczaj przestrzeganych reguł, pozwalających utrzymać w zbiorowym podmiocie elementarny porządek, bez którego nieuchronnie nastąpiłby rozkład pożycia społecznego, ale owe zasady postępowania wcale nie muszą być nasycone jurydycznością, jeśli będziemy przez nią rozumieć zespół tworzonych przez władzę przepisów, których nieprzestrzeganie jest zagrożone egzekwowaną przez aparat przymusu karą. Zdaje się, że zasadniczo schemat ten pojawia się po upowszechnieniu się pisma, gdyż umożliwia ono kodyfikację, będącą *conditio sine qua non* rozpowszechnienia zasady *dura lex, sed lex*, stanowiącej kamień węgielny pozytywizmu prawnego, bez którego, przynajmniej w typowej dla późnej Nowożytności optyce, trudno jest być pewnym co do tego, że mamy do czynienia z rozpowszechnioną jurydycznością w jej odseparowanym od pozapaństwowych konotacji znaczeniu.

Wynika z tego, że na wczesnym etapie historii ludzkości trudno jest mówić o trudnościach czy korzyściach, jakie przynosi ludziom prawo, bo samo jego istnienie nie jest potwierdzone w dokumentach, jakie nie mogły się pojawić z powodu wszechogarniającego analfabetyzmu. Pozbawieni możliwości czytania i pisania śmiertelnicy inaczej spoglądają na rzeczywistość niż „uczeni w Piśmie”, mający możliwość porównywania najrozmaitszych zapisów i wyciągania z nich racjonalizujących sposób postrzegania świata wniosków. Natomiast pozbawieni takiej opcji bliźni są niezwykle skłonni do ulegania potędze magii.

W swej zindywidualizowanej, uprawianej gdzieś w domowym zaciszu lub na uroczysku postaci, wyraża ona dążenie do przekształcania rzeczywistości nadzwyczajnym wysiłkiem psychicznym, sprawiającym, że zrytualizowane gesty i tajemnicze formuły

werbalne doprowadzą do pożądanego efektu bez konieczności podejmowania jakichkolwiek działań w sferze społecznej, skłaniających innych *per fas et nefas* do spełnienia życzeń jednostki albo grupy. Wystarczy w odpowiednim miejscu i czasie zaczarować rzeczywistość, aby osiągnąć zamierzony efekt bez potrzeby odwoływania się do „prawoczołwieczej ideologii” i jej najrozmaitszych formalnoprawnych osiągnięć, nie będących w stanie zagwarantować takich możliwości, jakie oferuje wciąż istniejąca w życiu społecznym i zyskująca na popularności w atmosferze narastającej postnowoczesności prastara magia. Kusi ona trudnymi do ogarnięcia możliwościami, jakich nie może zagwarantować żaden legislator, a zatem wniknięcie w jej arkana oznacza nabycie czegoś w rodzaju „supraprawa realizowania wielu roszczeń”, niezależnego od religijnych, moralnych czy państwowoprawnych ograniczeń. Konsekwentny czarownik ignoruje je, aby nie przeszkadzały mu w dążeniu do narzucania swojej woli światu.

Wyrazistym przejawem powodzenia w tym przedsięwzięciu jest przekonanie innych o skuteczności realizowanych praktyk, prowadzących do zdobycia nad nimi władzy, co oznacza, że współrodowcy, a następnie współplemieńcy i poddani uznają autorytet osoby, która może sprawić, że przyjdzie urodzaj i wrogowie zostaną pognębieni. Używając dzisiejszej terminologii, stwierdzimy, że postrzega się w Magu osobę, która gwarantuje dzięki wykorzystywaniu *pro publico bono* swojego nadprzyrodzonego potencjału, że członkowie jego społeczności będą realizować „przyrodzone prawo do Szczęścia”.

Ich rola zazwyczaj sprowadzała się do cierpliwego oczekiwania na spodziewane skutki wypowiedzianych przez Przywódcę cudownych zaklęć. Ich treść pozostawała dla postronnych niewiadomą, bo przecież profani mogliby je niewłaściwie wykorzystywać, co groziłoby ryzykiem spadających na nich i ogół straszliwych nieszczęść. Zauważamy w tym schemacie odwrócenie paremii *ignorantia iuris nocet*, jako że szczególna wiedza odnośnie do mających ogólnospołeczne znaczenie i brzemienne w skutki tekstów jest zastrzeżona dla wąziutkiego kręgu wtajemniczonych, zobowiązanych do zachowania tajemnicy odnośnie do „szczególnie wrażliwych przesłań”, będących odpowiednikami dzisiejszych „zastrzeżonych danych”, dostępnych jedynie dla najważniejszych dygnitarzy państwowych. Współcześnie traktuje się takie rozwiązanie jako wyjątek od obowiązującej podobno w niezwykle szerokim zakresie przejrzystości, podczas gdy przed wiekami uważano ją za zgubną. Gdybyśmy koniecznie pragnęli to rozwiązanie opisać przy użyciu nowoczesnych pojęć, to wypadłoby uznać, że w systemie tym zapewniano zwykłym członkom społeczności „prawo do błogosławionej niewiedzy”, dające przeciętnym ludziom szansę na pogodną akceptację darów Losu, na który większy wpływ mają jedynie ci, *которым виднее*, którzy budują Świetlaną Przyszłość dzięki znajomości kreatywnych arkanów Sztuki Tajemnej.

Jej refleksem w naszych czasach są przysięgi, składane przez osoby, zmieniające oficjalny status społeczny lub udzielające oficjalnie informacji instytucjom państwowym dążącym do ustalenia Prawdy. W takich sytuacjach wciąż wymaga się wypowiedzenia formułki, jaka zazwyczaj jest machinalnie, bez większego namysłu recytowana przez człowieka, wypełniającego obowiązek wynikający z sytuacji, w jakiej się znalazł. Sens składania przysięgi jest coraz mniej zrozumiały dla zatopionych we współczesności obserwatorów rzeczywistości, co sprawia, że pojawiają się postulaty zrezygnowania z tego wymogu, traktowanego jako zbędny w demoliberalnej państwowości z typowym dla niej poglądem o konieczności mnożenia praw obywatelskich i likwidowania obowiązków, szczególnie takich, które jawią się jako „uciążliwa pozostałość dawno minionej przeszłości”, kiedy to w sferze publicznej padało mniej słów, co w znakomity sposób przyczyniało się do ich znaczenia, rozmytego dzisiaj w werbalnych potokach, lejących się z najrozmaitszych publikatorów. W Wiekach Średnich, kiedy przywiązywano większą wagę do słowa, wymagano od tych, którzy składali przysięgi, żeby brzmiały one dokładnie tak, jak brzmiał kanoniczny wzorzec, nie dopuszczający żadnych odstępstw, w związku z czym ich wystąpienie skutkowało nieważnością, w przeciwieństwie do epoki, w jakiej przyszło nam żyć, kiedy to przechodzi się do porządku dziennego nad pomyłkami (przypadek aktualnego Prezydenta RP) lub co najwyżej zarządza się powtórzenie procedury (*casus* urzędującego Prezydenta USA, przy czym znamienne jest to, że ponowna przysięga nie miała już publicznego charakteru, co z pewnością ułatwiło ukrycie domniemyanych uchybień, jakich wystąpienia nie można przecież wykluczyć).

Zauważamy, że legitymizujące działania w sferze publicznej formułki, niegdyś traktowane jako magiczne zaklęcia, zostały pozbawione w powszechnym odczuciu swojej mistycznej aury, co wynika z tego, że ich zawartość jest powszechnie znana, uwalniając przez to profanów od pokusy snucia domysłów odnośnie do treści potężnych zaklęć, obdarzonych według niegdyśszych przekonań twórczą siłą wyższego rzędu, jeśli były wypowiedzane w nieskażonej, niczym nie odbiegającej od niezmiennego standardu, postaci. Jego powtarzanie przez wtajemniczonych nadaje się do tego, aby uznać je za prejurydyczność, będącą podstawą autorytetu, przypisywanemu tym, którzy wiedzą w jaki sposób dbać o dobro wspólne. Do takich jednostek zalicza się stojący na czele monarchii w jej magicznej odmianie przywódca, względnie czarownik, gdy mamy do czynienia z podziałem władzy. Czymś typowym dla takiej formy państwowości jest rytualne poświęcanie władcy w imię przekonania, że uroczysta śmierć szczególnej osoby przyniesie błogosławione skutki.

Z takim właśnie postępowaniem mieliśmy do czynienia u Azteków, gdzie wybrańców uśmiercano na szczytach piramid, aby Słońce mogło nakarmić się ich krwią i zapewniać Indianom życiodajne światło i ciepło. Ci, którzy byli pozbawiani życia w imię

tej idei, byli zdaje się traktowani jako szczególnie wyróżnieni, ponieważ przypadł im w udziale zaszczyt przepełnionego Wyższą Koniecznością rozstania z życiem, otrzymali oni „prawo do uszlachetniającego i szlachetnego zgonu”, w którym nietrudno dostrzec zapowiedź zbanalizowanej w tej perspektywie kary śmierci, interpretowanej raczej jako napiętnowanie niż wywyższenie, choć często była wykonywana na górującym nad widzami podeście, potrzebnym do tego, aby zaprezentować tryumf przynajmniej intuicyjnie znanego przez wszystkich w podstawowym zakresie Prawa nad naruszającymi ziemski Porządek występkami.

Wraz z oficjalnym przewyciężaniem dominacji Magii w coraz większym stopniu opierał się on na Religii, zakładającej w swojej dojrzałej postaci istnienie pozaziemskiej teistyczności, której podlega cały ród ludzki, oddający jej cześć podczas religijnych obrządków. Prowadzący je kapłani charakteryzują się tym, że znają *Scriptura Santa*, zasadniczo dostępne dla wszystkich wykształconych, czyli biegłych w piśmie, których było niewielu, choćby z tego powodu, że opanowanie skomplikowanych hieroglifów wymagało wieloletniego natężonego wysiłku. Ci, którzy zwieńczyli powodzeniem ten trud, podczas obrządków zwracali się publicznie do zgromadzonych wiernych z konfesyjnymi przesłaniami, co oznaczało, że Słowo przestało być ukrywane przed małuczkimi, wydostało się z magicznego zamknięcia i rozlegało donośnie w sanktuariach, rozbrzmiewających modlitwami wyznawców, przyrzekających skrupulatne przestrzeganie przykazań. Dokonywane na terenie świątyni obrządki przewidują zatem dialog laików z hierokratami, nie występujący bynajmniej w magicznym procedowaniu, nie przewidującym współudziału obserwatorów, mających z bezpiecznej odległości biernie podziwiać wychny szamana. W religijnym schemacie zostaje on zastąpiony przez duchownego, wypowiadającego kanoniczne teksty w stronę parafian, odpowiadających na nie wymaganymi przez niezmienny scenariusz formułkami, niezbędnymi do tego, aby uroczystość osiągnęła zamierzone skutki.

Przekształcenie to oznacza, że niegdyśiejszy obowiązek pokornego milczenia zastąpiony zostaje prawem do wypowiadania brzemiennych w efekty tekstów, docierających w założeniu równolegle z kapłańskimi przesłaniami do bogów, którzy wysłuchają częściowo lub całkowicie prośb albo nie są skłonni tego uczynić. Sprawia to, że osoby mające zinstytucjonalizowany kontakt z ponadziemskimi bytami są pozbawione paranormalnej otoczki, znikającej wraz z wypchnięciem magiczności ze sfery publicznej, w jakiej coraz większego znaczenia nabierają zapowiadające pojawienie się kodeksów święte teksty, zawierające prawdy i wskazania, mające wiernym pomóc w prowadzeniu bogobojnego życia. Učení w Piśmie mają dawać przykład oraz czytać i interpretować Szczególne Księgi, które właśnie oni powinni szczególnie czcić i pedantycznie przestrzegać zawartych w nich wskazań, gorliwie przypominanych podczas świątynnych zgromadzeń.

Istotne jest to, że, przynajmniej w pozbawionych kastowości społeczeństwach, religijne nakazy mają walor *erga omnes*, są powszechnie obowiązujące, co stanowi ewidentny przejaw kształtowania się zasady wszechobejmującej jurydyczności, w najmniejszym stopniu odnoszącej się do monarchy z powodu ciągłego przypisywania mu boskich paranteli, skutkujących wzbudzającymi nieopisany respekt taumaturgicznymi zdolnościami, zachęcającymi do szczególnego traktowania tak obdarzonej osoby. Skutkowało to tym, że więcej jej wybaczano, jednakże, szczególnie w kręgu monoteistycznych religii, nie formułowano tezy o bezwzględnym konfesyjnym immunitecie, zwalniającym króla lub kogokolwiek innego od konieczności przestrzegania przykazań.

Ustanawiają one wzorzec moralnego, właściwego względem Boga i bliźnich postępowania poprzez sformułowanie szeregu nakazów i zakazów, ewidentnie ograniczających swobodę poczynań jednostki i zastępujących charakterystyczne dla opartych na rodowości i plemienności skupisk ludzkich niezwykle ciasne więzy, które uległy wskutek cywilizacyjnego rozwoju rozluźnieniu. Wchodząca w dojrzałe stadium religia przetwarza i zastępuje pierwotne normy uwznioślonymi regułami wyższego rzędu, których przestrzeganie ma ułatwić współzycie w wychodzących z trybalności społeczeństwach, gdzie oparta na związkach krwi, rudymenarna solidarność traci na znaczeniu, natomiast zyskuje na nim rodzina oraz pojedynczy człowiek, mający prawo zagubić się w odmienionej rzeczywistości. Powstaje więc potrzeba dostarczenia im punktów orientacyjnych czy też kamieni milowych albo latarni morskich, oświetlających szlak, jakim podążają w niejednokrotnie pociemniałej wskutek nagromadzenia zmywających stare wartości burzowych chmur okolicy. Taką właśnie rolę mają spełniać przykazania.

Najbardziej znaną w naszym kręgu cywilizacyjnym ich postać stanowi Dekalog, natomiast gdzie indziej jego odpowiednikami jest 5 islamskich nakazów lub powstałe w ramach buddyzmu Pięć Zasad (*Pañcza Sila*). Kryjąca się za tymi katalogami filozofia stanowi zaprzeczenie najprzeróżniejszych współczesnych deklaracji praw, albowiem na wyznawców nakłada się obowiązki, których spełnianie ma potwierdzić przynależność jednostki do konfesyjnej wspólnoty. Jej trwanie nadaje ludzkiemu życiu znamię współudziału w Wielkiej Sprawie, na tyle znaczącej, że warto dla niej podejmować codzienne wysiłki w celu zwalczania hedonistycznych pokus, jakim uleganie stanowi obrazę zbiorowej aksjologii, mającej nadać zarówno kolektywnemu, jak i zindywidualizowanemu bytowaniu wyższy sens. Jest on ściśle związany z moralnością, która co prawda nie jest obca również ateizmowi, lecz tenże *ex definitione* opiera się na typowo religijnych pojęciach, a zatem jego aksjomaty siłą rzeczy mają wtórny charakter, gdyż stanowią reakcję na konfesyjne dogmaty, za jakie wypada uznać również przykazania. Są one sformułowane w jednoznaczny, nie podlegający dyskusji sposób, dzięki czemu ich adresaci powinni wiedzieć w jaki sposób przyczyniać się do kształtowania Wspólnego Dobra,

konstituowanego wysiłkami braci w wierze. Z założenia jest ona wymagająca, co powinno skłaniać wiernych do myślenia w kategorii: „Nie pytaj, co Bóg i bliźni mogliby zrobić dla ciebie, natomiast staraj się dać jak najwięcej z siebie dla Boga i innych”. Ludzie są intensywnie nakłaniani do rozliczania samych siebie w myśl hasła „życie to wytrwałe spełnianie powinności”.

Przy takim nastawieniu nie ma miejsca na wyciąganie z faktu pojawienia się spisane go Prawa wniosku o ewentualności powiązania go z prawami podmiotowymi poddanych mu jednostek. Powinny się one skupiać na pokornym spełnianiu obdarzonych teistyczną sankcją norm, tworzących *Ius Divinum*. Skoro jurydyczność ma boski charakter, nadający mu niebotyczną wzniosłość, to drobne ludzkie roszczenia ewidentnie zakłócałyby jego wzniosłą tożsamość, nakazującą podziwianie go, a nie wykorzystywanie dla partykularnych interesików. Na straży tego przekonania stoją teologowie, przypominający laikom o znikomości żywota na łez padole, gdzie najwłaściwszą postawą jest *ora et labora*, przy czym formuła ta bynajmniej nie obejmuje trudu zeświecczonych jurystów, żerujących na rozpalanych przez siebie ludzkich słabościach, które winny być zwalczane, a nie rozbudzane nadzieją na procesową wygraną, będącą pochodną przesłania *homo homini lupus*, akcentującego nieuchronność stałego ujawniania negatywnych cech ludzkiej natury, konsekwentnie zwalczanych przez bogobojne kazania, wzywające do nawrócenia, a nie zawziętego dochodzenia swoich racji, niknących w obliczu wygłaszanego z ambony nauczania o konieczności głębokiego wniknięcia w samego siebie i zwalczania we własnej duszy diabelskich pokus. Wytrwałe poszukiwanie belki we własnym oku nie skłania do wynoszenia na *forum publicum* doznanych uraz i domagania się za nie odszkodowania, co stanowi istotną przesłankę zasadniczo opartej na roszczeniowości doktryny praw człowieka w jej porewolucyjnej postaci.

3. Niektóre problemy porewolucyjnej nomokratyczności

Przesłanką wszechogarniającej popularności tego pysznego przejawu antropocentryzmu jest oderwanie legislacji od pozaziemskich konotacji. Onegdaj sprawiały one, że ludzie czuli się fundamentalnie uzależnieni od Stwórcy, ciesząc się z tego, że obdarzył ich istnieniem i martwiąc z powodu własnej niedoskonałości, wymagającej stałej pracy nad sobą z perspektywą otrzymania nagrody w życiu pozagrobowym, która to wizja deprecjonowała ziemski żywot, zniechęcając do jakichś szczególnych starań w kierunku zasadniczego polepszenia zarówno swojej doli, jak i zbiorowego losu ludzkości, pozbawionej nęcącej wizji Permanentnego Postępu, roztaczanej przez dzisiejsze autorytety. Opierają się one na przekonaniu o ontologicznej samodzielności wyewoluowanych hominidów, zasługujących na to, aby „wziąć sprawy w swoje ręce” bez oglądania się na

„przebrzmiałe, nietolerancyjne zawołania”, w jakie wsłuchani byli niegdyś prorocy, pozbawieni wiary w Rozum, w przeciwieństwie do oświeceniowych encyklopedystów, skutecznie przekonujących siebie i innych o konieczności zaprowadzenia autarkicznej antropokracji w postaci dążącego do zapanowania nad całą planetą Doskonałego Państwa, w którym dojdzie do syntezy ludowładztwa z mającą czysto człowieczy rodowód nomokracją.

Aby to się dokonało, trzeba było zlikwidować międzystanowe bariery, rozbijające wykoncypowaną przez nowożytnych filozofów ogólnospołeczną jedność. Zrealizowanie tego zamierzenia sprawiło, że duchowieństwo straciło swój szczególny status, ułatwiający mu przypomnianie o konieczności przestrzegania obdarzonych pozaziemską sankcją przykazań, zaakceptowanych według biblijnego opisu przez zawierający Przymierze z Adonajem bogobojny Naród Wybrany. Owo starotestamentowe wybraństwo zostało przekształcone w autopromocję, polegającą na ogłaszaniu niepodległości Ludu od wszelkich zewnętrznych względem niego bytów. Jurydyczną zaporą przed ich uroszczeniami stały się dokumenty pozbawione innej niż społeczna legitymizacji, unikające odgórnego uprawomocniania, używanego w odniesieniu do starego prawnopolitycznego paradygmatu, przekreślonego wraz z „absurdalną niewolniczo-feudalną przeszłością”, z rozmachem, przynajmniej w werbalnym wymiarze, rzucaną na „śmietnik Historii”. Oskarżaną o przesycenie uciskiem czy też niesprawiedliwością minioną rzeczywistość społeczno-polityczną odcinano z emfazą Grubą Kreską po to, aby wkroczyć na Szeroki Gościńiec Nowych Czasów, wiodący w kierunku wyznaczonym przez treści wyrażone w mającej zastąpić Dekalog Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. Chrześcijańskie obowiązki zostały zapędzone do kruchty, aby nie przeszkadzać w upajaniu się Nową Prawdą, przedstawiającą odmienną od średniowiecznej wizję sensu ludzkich działań, mających zmierzać w stronę fatamorgany zwanej Szczęściem.

Prawo w znaczeniu przedmiotowym zostaje po obaleniu starych reżimów znacznie wyraźniej niż niegdyś powiązane ze świadomie ukierunkowanymi w stronę jego tworzenia działaniami, znajdującymi swoje ukoronowanie w konstytucjonalizmie, nie będącym jednak niczym innym niż ideologiczno-filozoficznym trendem, postulującym powstanie skoncentrowanego w jednym akcie prawnym Najwyższego Prawa, uchwalonego przez najlepszych przedstawicieli rozrastającego się zbiorowego podmiotu suwerenności. Realizacja tego scenariusza doprowadziła do daleko posuniętej jurydyzacji społeczno-politycznej rzeczywistości, ponieważ zawarte w Ustawie Zasadniczej ogólnikowe postulaty rozwijano w aktach wykonawczych, których normy były następnie uszczegóławiane w regulacjach jeszcze niższego rzędu, co niejednokrotnie w dalszym ciągu okazywało się być niewystarczające dla rosnących zastępów urzędników, zabiegających się w poczuciu konieczności doskonalenia państwa prawa do konstruowania

kolejnego piętra normatywnej piramidy, konsekwentnie rozbudowywanej do niebotycznych rozmiarów i rosnącego stopnia wewnętrznej złożoności, uniemożliwiając komukolwiek podjęcie udanej próby całościowego jej ogarnięcia. Nie przeszkadza to bynajmniej w nieustannym powiększaniu jurydycznego gmaszyska, w sporym stopniu istniejącego dla samego siebie, gdyż alienacja niejedną ma postać.

Ten stan rzeczy wyraziście kontrastuje z sytuacją w tej dziedzinie, jaka była typowa dla przednowoczesnego państwa, kiedy to prawo pozytywne pozostawało w cieniu naturalnego i zwyczajowego. Działo się tak choćby z tego powodu, że pergamin był drogi, w związku z czym dbano o to, by nie wykorzystywać go nadmiernie dla spisywania jakichkolwiek treści. Na dodatek w przypadku prawa zwyczajowego jego graficzne utrwalanie było sprzeczne z ideą tej postaci normatywności. Jej siła polega wszak na tym, że w powszechnym przekonaniu istnieje ono od niepamiętnych czasów w niezmiennym kształcie, względnie podlega niewielkim przemianom wraz z następującymi po sobie pokoleniami, co sprawia, że ludność ma sporo czasu na zaznajomienie się z treścią jurydycznego legatu. Taki stan rzeczy skutkuje naturalnym domniemaniem powszechnej znajomości porządku prawnego bez potrzeby czynienia zapisów, które pozostałyby niezrozumiałymi dla składającej się w przeważającej części z analfabetów populacji. W czasach pozbawionych rewolucyjnych przyspieszeń ludzie rodzili się i umierali w zasadniczo tym samym ustroju, co nie zmuszało ich do poznawania nowych reguł. Jeśli nawet dochodziło do jakichś zawirowań w obrębie klasy politycznej, to w sytuacji niezmiennego deficytu demokracji nie miało to większego znaczenia dla plebejskich mas, żyjących dalej tak jak zawsze w poczuciu dobrego rozeznania w zakresie ciężących na poddanych nieskomplikowanych obowiązków i pozbawionych rozmachu praw. Wynikałoby z tego, że powszechna świadomość prawna przed wiekami była znacznie bardziej ugruntowana niż współcześnie.

Dzieje się tak pomimo to, że obowiązek niewolniczej czy pańszczyźnianej pracy dla lepiej urodzonych został zastąpiony obowiązkiem szkolnym, mającym w założeniu doprowadzić do uświadomienia ogółu obywateli co do podstawowych praw rządzących światem oraz skutków wynikających z tego dla obdarzonych jurydyczną podmiotowością jednostek. Mają one w państwowych placówkach edukacyjnych dowiadywać się o przysługujących im roszczeniach względem państwa i narzucanych przezeń zobowiązaniach. Według demoliberalnej dogmatyki ilość tych ostatnich ma ulegać zmniejszeniu, dzięki czemu powinna wzrastać sfera indywidualnej oraz zbiorowej wolności, gwarantowana przez konstytucyjnie potwierdzone prawa podmiotowe. Wraz z rozwojem konstytucjonalizmu zwiększa się ich ilość oraz znaczenie, co skutkuje tym, że coraz więcej czasu trzeba poświęcać na pouczanie dzieci i młodzieży, co ma sprawić, że z czasem powiększą szeregi dojrzałego i oświeconego społeczeństwa obywatelskiego.

To ambitne założenie sprawia, że dla znacznej części dziatwy konieczność wieloletniego przesiadywania w szkolnych ławach staje się mitręgą, niezwykle utrudniającą wczesne wkroczenie w dorosłość poprzez podjęcie pracy zarobkowej, umożliwiającej uzyskanie środków na korzystanie z ulubionych przez masy rozrywek. Zamiast nich trzeba się zajmować wkuwaniem nudnych formulek, których znajomość jest traktowana jako dowód intelektualnego rozwoju. Niegdyś oczekiwano go zasadniczo jedynie od monarchiczno-arystokratycznej progenitury, mającej odróżniać się wykształceniem od nie znających szkoły prostaków, którzy wskutek rewolucyjnych przemian zostali pozbawieni możliwości przynależności do ciemnego ludu. Nie odnajdziemy wszak w prawocześniowych katalogach prawa do bycia analfabetą, co przy odrobinie przekory nie trudno byłoby uznać za istotne uchybienie, wynikające z konieczności poddawania mieszkańców państwa indoktrynacji, likwidującej niegdysiejsze odrębności, niezwykle utrudniające budowanie egalitarnego ładu, utrzymywanego przez podobnie myślących demokratów, przygotowanych przez publiczne szkolnictwo do odgrywania zamierzonej przez władzę roli posłusznego obywatela, poznającego jej przesłania dzięki temu, że nauczyła go ona czytać, aby mógł „zapoznawać się z naukowym i filozoficznym dorobkiem postępowej ludzkości”.

Ponieważ jednak „gorszy pieniądz wypiera lepszy”, większe wzięcie mają teksty, obrazy czy filmy „żerujące na niskich uczuciach”, gdyż ich percepcja wymaga znacznie mniejszego wysiłku niż w przypadku dzieł z wyższej półki. Niepowstrzymana inwazja gorszących maluczkich utworów niskiego lotu jest nieuchronna wówczas, gdy zakłada się, że każdy jest na tyle świadomy, że z pełną odpowiedzialnością sięgnie po taki wytwór kultury, jaki spełnia jego oczekiwania, również wówczas, gdy skutki takiego wyboru mogą być głęboko szkodliwe.

Niegdyś moralność jednostki była chroniona przez totalitarną gromadę, wnikliwie pilnującą, aby jej członkowie nie odstępowali od obowiązujących wzorców. Na wyższych szczeblach rozwoju na straży moralności stoją instytucje w postaci inkwizycji czy też cenzury, tworzone przez władzę po to, aby zwalczać zarówno demoralizację, jak i pluralizm, sprawiający, że ludzie gubią się w obliczu wielu ofiarowanych im prawd. Uważano, że daleko posunięte w dzisiejszych czasach prawo do różnorodności jest zgubne, w związku z czym uprawiano politykę służącą ochronie poddanych przed pokusami, grozącymi rozchwianiem tożsamości, co niejednokrotnie skutkuje wejściem na złą drogę i życiową katastrofą.

Wynikałoby z tego, że włodarze dawnych państwowości we własnym dobrze rozumianym interesie intensywnie dbali o zapewnienie przeciętnemu plebejuszowi realizacji prawa do zewnętrznego i wewnętrznego bezpieczeństwa pomimo to, a raczej właśnie dlatego, że takie uprawnienie nie istniało w oficjalnej propagandzie. Tym niemniej jego

istnienie, jeśli staniemy na gruncie dzisiejszych pojęć, nieuchronnie wynika z typowej dla zdecydowanej większości ludzkości podstawowej potrzeby zabezpieczenia przed standardowymi lub innymi niebezpieczeństwami, zapewnianej przez państwo, które nie powstanie, ewentualnie nie utrzyma się, jeśli nie uchroni ludności przed poważniejszymi nieszczęściami, do jakich zaliczają się obok naturalnych katastrof przede wszystkim rewolucje i wojny. Zdarzały się one zawsze, ale wiek XX przyniósł ich globalną eksplozję na niewyobrażalną niegdyś skalę, kompatybilną z rosnącą ilością międzynarodowych umów i wewnątrzpaństwowych konstytucji, deklarujących głębokie poszanowanie praw człowieka.

Okazuje się więc, że ilość nie przeszła w jakość. Demokratyzacja i nomokratyzacja społeczno-politycznej rzeczywistości poważnie ją rozchwiały. Trudno, żeby było inaczej, jeśli poprawna politycznie narracja umacnia ludzkie masy w przekonaniu, że „człowiek jest miarą wszechrzeczy”, a zatem nie ma pozaludzkich, niemożliwych do zmiany poprzez głosowanie barier, jakie ograniczałyby wzrost aspiracji do coraz bardziej godziwej pensji, wydłużającego się życia, powiększającego się materialnego komfortu i rosnącej gamy rozrywek. Skoro „zabrania się zabraniać”, to żadna instytucja nie jest władna autorytatywnie ogłosić, że nie będą przyznawane żadne nowe prawa, a tym bardziej zapowiedzieć ich redukcję. Wszak byłoby to niezgodne z rozpowszechnionym przekonaniem o słuszności praw nabytych, które mogą być jak najbardziej uzupełniane przez następne, ale w żadnym wypadku odbierane, gdyż stałoby to w sprzeczności z wiarą w Postęp, będący przecież jednym z ważniejszych idoli nowoczesności. Progresizm wymaga zatem, aby jurydyczność rozwijała się w kierunku zaspokajania rosnących potrzeb mężczyzn i kobiet, coraz rzadziej przekonanych o słuszności paremii *dura lex, sed lex*, kojarzącej się z niegdyśszą opresywnością, niemodną w czasach znoszenia kary śmierci i walki o coraz lepsze warunki pobytu w więzieniach, których pensjonariuszy traktuje się raczej jako ofiary systemu niż grzeszników.

Takie podejście wynika z modnego wśród elit przekonania o wrodzonej dobroci człowieka, wykluczającego w takim razie możliwość istnienia osób, jakie reprezentowałyby wcielone zło. Zdaje się, że większość prostych obywateli wciąż stoi na stanowisku, że takie przypadki się zdarzają, z czego wynika potwierdzana przez sondaże nieustanna popularność kary śmierci wśród szerokich mas, nad czym przechodzi się w Unii Europejskiej do porządku dziennego, argumentując, że pozbawianie życia jest niehumanitarne, choć zdecydowana większość *homines sapientes* wciąż opowiada się za karą główną. *Vox populi* przegrywa więc z głosem wybrańców ludu, z czego wypada wyciągnąć wniosek, że, podobnie jak przed wiekami, są tacy, *которым виднее*, co upoważnia ich do układania katalogów praw człowieka, wyrażających demoliberalną ideologię, niekoniecznie odzwierciedlającą poglądy większości zwykłych ludzi, obdarzanych

przez ambitnych legislatorów jurydycznymi prezentami w postaci legalizacji aborcji, eutanazji lub jednopłciowych małżeństw, które to rozwiązania stanowią ewidentne przykłady zwycięstwa doprowadzanej do skrajności ideologii praw człowieka nad terazniejszym i przyszłym interesem ogólnospołecznym, wymagającym myślenia w szerszej niż partykularna perspektywie.

Coraz częściej znajduje ona odzwierciedlenie w regulacjach odnoszących się do zwierząt i środowiska naturalnego, traktowanego jako ostoja niewinności zagrożonej przez zachłanny rodzaj ludzki. Trudno nie dostrzec w takim nastawieniu znużenia „prawocłowieczym wyznaniem wiary”, jakie wydało ze swego łona heretyków w postaci obrońców praw wszystkich istot żywych, w ich imieniu negujących ścisły związek między ludzkością a nomokracją.

4. Zakończenie

Jeśli przedstawiony w powyższym akapicie trend utrzyma się i nasili, to jurydyczność nabierze innego niż współcześnie charakteru. Jeśli nie dojdzie do powstania jakiejś zupełnie nowej jakości, to będziemy mieć do czynienia z ponowoczesnością, sięgającą do arsenału starych pojęć, które nigdy nie zostały zapomniane, choć odeszły na dalszy plan, zepchnięte przez modne nowinki. Można zatem oczekiwać np. renesansu idei boskiego charakteru prawa, jaka nabierałaby w ludzkich umysłach mocy wraz z prognozowanym przez Bierdiajewa i innych Nowym Średniowieczem. Inna opcja to generalny schyłek nomokracji, będącej zasadniczo zachodnioeuropejską koncepcją, która w poważniejszy sposób nie zakorzeniła się na prawosławnym Wschodzie, gdzie obserwowany wzrost religijności nie idzie specjalnie w parze z ofensywą idei państwa prawa, której postępy odciągałyby najpewniej uwagę wiernych od konfesyjnych dogmatów. W świecie islamu są one dla prawowiernych muzułmanów jurydycznymi nakazami, dlatego trudna do uniknięcia mahometańska ekspansja będzie skutkować ustanawianiem szariatu, w którym niezmiennie obowiązuje zasada boskiego charakteru prawa. Drugim, obok islamskiego, wielkim wyzwaniem dla Zachodu są Chiny, które zasadniczo nigdy nie wkroczyły na religijny etap rozwoju, dzięki czemu potężną rolę nieustannie odgrywa w nich moralność, kierująca się wskazówkami owiniętej w welon naukowości magii, co sprawia, że wygłaszane przez Przywódcę komunistyczne czy też kapitalistyczne formułki nabierają od razu rangi Najwyższego Objawienia na podobieństwo bezalternatywnych prawd ogłaszanych przez orwellowskiego Wielkiego Brata. Jeśli zatem duchowy kryzys Zachodu będzie się dalej pogłębiał, co przyda atrakcyjności innym ofertom cywilizacyjnym, to wypada się spodziewać globalnego odwrótu od zeświecczonej jurydycznej normatywności, jaka zostanie zastąpiona przez zbiory norm innego typu, znane

ludzkości z dawien dawna, co z pewnością wybitnie ułatwi ich akceptację przez szerokie masy, które bez specjalnego żalu porzucą Mądrość Nowoczesnego Etapu, aby powrócić w wydeptane przez liczne generacje przodków stare koleiny, które doskonale spełniały swoją rolę, zanim nie nadszedł czas „równościowo-wolnościowego odchylenia”, lubującego się w nienaturalnych, świadczących o aberracji regulacjach, stanowiących ewidentne objawy „francuskiej choroby”. Być może właśnie tak w przyszłości dworscy historycy będą opisywać „niemądre porewolucyjne czasy”. W każdym razie byłoby dziwne, gdyby wyglądały one tak samo jak nasze, bowiem zgodnie z Fundamentalnym Prawem Dziejowym nic nie trwa wiecznie w ziemskim wymiarze, a to, co ludzie napiszą w swoich kodeksach i konstytucjach, w najmniejszym stopniu nie wpłynie na obowiązywanie owej Spiżowej Prawidłowości.

